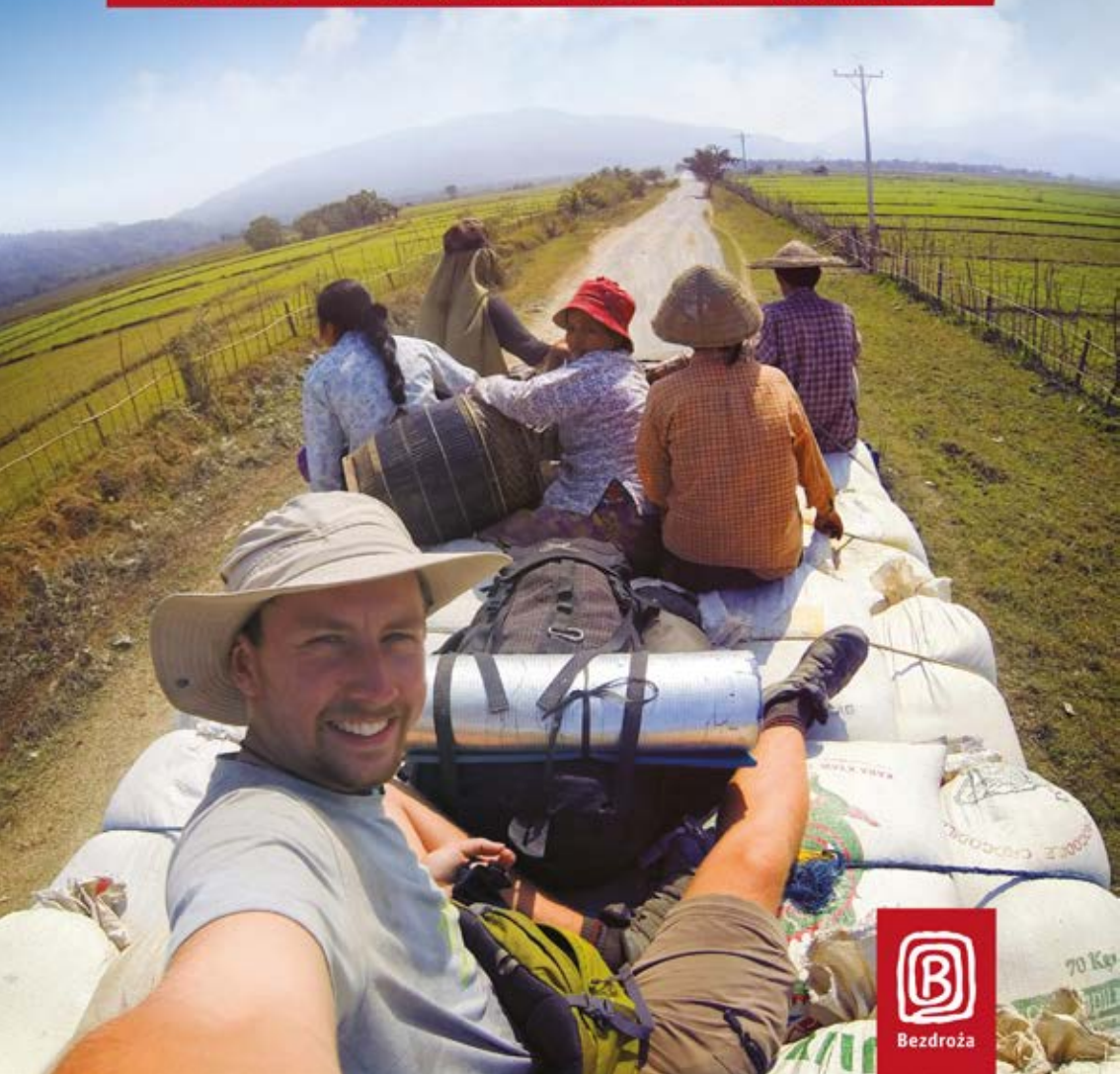


» MATEUSZ KOTLARSKI «

KOTLET NA WYNOS

CZYLI AUTOSTOPEM ZA RÓWNIK



Bezdroża

Autor tekstu i fotografii: Mateusz Kotlarski

Redaktor prowadzący: Paweł Sondej

Redakcja: Łukasz Karolewski

Korekta: Urszula Czerwińska

Skład: Krzysztof Hosaja

Projekt okładki: ULABUKA

Zdjęcie na okładce: Mateusz Kotlarski

Mapa na okładce: Magdalena Krocza

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz wydawnictwo Helion dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz wydawnictwo Helion nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Wydawnictwo Helion

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel.: 32 2309863

e-mail: redakcja@bezdroza.pl

księgarnia internetowa: <http://bezdroza.pl>

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres:

<http://bezdroza.pl/user/opinie/?kotlet>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

Wydanie I

ISBN: 978-83-283-2635-4

Copyright © Mateusz Kotlarski, 2016

Copyright © Helion, 2016

- | | | |
|---|---|---|
| <ul style="list-style-type: none">• Kup książkę• Poleć książkę | <ul style="list-style-type: none">• Oceń książkę• Księgarnia internetowa | <ul style="list-style-type: none">• Lubię to!• Nasza społeczność |
|---|---|---|

Kup książkę

Poleć książkę

» MATEUSZ KOTLARSKI «

KOTLET NA WYNOS

CZYLI AUTOSTOPEM ZA RÓWNIK



Bezdroża

Kup książkę

Poleć książkę



LAOS

Znalazłem się w Laosie. Jeszcze rok wcześniej miałbym problem z umiejscowieniem tego kraju na mapie. Co uderzyło mnie zaraz po znalezieniu się na tej ziemi? Wszechobecna dżungla? Odgłosy jak w krakowskim zoo? Brak ludzi? Niesamowity upał i wilgotność uniemożliwiająca większy wysiłek? Potrzeba natychmiastowej zmiany spodni na szorty? Nie.

Pierwsze, co zachwyciło mnie w Laosie to cisza. Wreszcie. Po miesiącu pobytu w Chinach zacząłem się przyzwyczajać i chyba zapomniałem, co to znaczy „słyszeć” ciszę. Żadnych krzyków, warkotów silników, wrzasków i pisków. Tylko odgłosy natury i lekkie skrzypienie mojego prawego buta. Od tej chwili wiedziałem już, że w tym kraju odpocznę i zaznam niczym niezmałconej podróżniczej atmosfery.

A swoją drogą to kolejny powód do docenienia naszego pięknego, leżącego nad Wisłą kraju. Spotkałem po drodze wiele osób, które mówiły – Polska? Tak, byłem kiedyś! Boże, jak wy tam macie cicho i spokojnie. I te Mazury.... Nie zmyśliłem tego, to autentyczny cytat. Zawsze wtedy myślałem, że przesadzają. Przecież w naszych miastach jest gwar i hałas. Teraz już wiem, że to, co my nazywamy gwarem, w rzeczywistości jest oazą spokoju. Tego dnia nie tylko zakochałem się od pierwszego wejrzenia w Laosie, ale również zapalałem po raz kolejny miłością do Polski.

Zupełnie inny świat. Pierwsze laotańskie miasteczko wyglądało jak kolonia francuska. Nareszcie jakaś inna architektura, a nie ciągle te chińskie smoki i lwy na każdym okapie domu, które na początku fotografowałem z każdej strony, ale po miesiącu miałem ochotę wykopać je na orbitę. W skwarze lejącym się z nieba obszedłem wioskę, zagadałem do kilku obcokrajowców i poszukałem noclegu. Najtańszy za osiem złotych w szopach z łózkami piętrowymi.

Dżungla w okolicy Luang Namtha

- Sat, a to czerwone? – zapytałem.
- Uuu, piękny owoc Jangry...
- Można zjeść? – sięgnąłem ręką w stronę okazu.
- Nie! Ty nie dotykać! Trujące!
- Wiem, wiem, tak tylko się drażnię...

To był trzeci dzień naszej wędrowki, zaprzyjaźniliśmy się z Satem i wiedziałem już, że od czasu do czasu mogą sobie pozwolić na taki żarcik. Wiedziałem też, że na żartach muszę poprzestać.

Poznajcie Sata – mojego przewodnika po dżungli. Wygląda jak prawdziwy dziki Laotańczyk, choć wychował się i mieszka w Luang Namtha – całkiem sporym, jak na warunki laotańskie miasteczku. Ma około metr sześćdziesiąt wzrostu, zatem góruje wśród rówieśników. Często się uśmiecha i zawsze uzupełnia wypowiedź licznymi gestami. Ma 35 lat. Tego jest raczej pewny, jednak w kwestii roku urodzenia musi się posłużyć notatkami. Przez kilka ostatnich lat był nauczycielem. Co prawda skończył tylko liceum, ale to i tak więcej niż większość miejscowych. W końcu jednak uznał, że nie jest to jego powołaniem – w dżungli czuje się lepiej. Uwielbia dużo mówić, a jego historie o buszu nie mają końca. Natomiast te niezwiązane z nią bardzo często luźno łączą się z prawdą. Lubi po prostu trochę pofantazjować. Jego angielski jest całkiem niezły, ale w połączeniu z laotańskim akcentem brzmi przezabawnie. Laotańczycy często zaciągają. Jego „Yeeeee” przedłużane do wysokiego C i „Uuuuu” znaczące w jego języku po prostu „nie” zapamiętam chyba do końca życia. Podczas zwykłej rozmowy, choćby o pogodzie, pękałem ze śmiechu. Ubrany w luźną koszulkę, z plecakiem z Decathlonu zarzuconym na ramię, łączy w sobie miejskie nawyki i obyczaje dzikich ostępów.

Poznajcie również Chana – mojego drugiego przewodnika po dżungli, który dużo lepiej od Sata orientował się w ścieżkach prowadzących przez dżunglę. Chan, jak większość Laotańczyków z wioski, nie jest specjalnie otwarty i rozgadany. Nie zna ani słowa po angielsku, a po laotańsku też średnio sobie radzi. Jego rodzime plemię Kamhu ma swój własny język. Chan zawsze wygląda na zamyślonego i lekko nieobecnego. Lubi odwrócić się tyłem do wszystkich i po prostu patrzeć w głąb buszu. Mimo to kilka razy w ciągu tych paru dni widziałem go uśmiechniętego, zwłaszcza gdy okazywaliśmy podziw dla jego umiejętności. A tych mu nie brakowało. Przez cztery dni kroczył na czele naszego pochodu, zawsze jakimś cudem wypatrując wąską ścieżkę. Mało tego, oprócz

ważnego patrzenia pod nogi, bardzo często ni z tego, ni z owego pokazywał palcem do góry, gdzie znajdował się jakiś ledwo widoczny jadalny owoc. Nie mam pojęcia, jak on je wypatrywał. Nosił koszulę khaki i krótkie spodenki, które zastępował bojówkami tylko podczas najtrudniejszych odcinków marszu. Ile ma lat – nie wiadomo. Zapytany o to, odpowiedział z przekonaniem, że 70. Moim zdaniem może mieć co najwyżej 40. Ponieważ drążyłem ten temat, obiecał, że zapyta kogoś w wiosce, kiedy się urodził. Prawdopodobnie do tej pory nigdy taka wiedza nie była mu potrzebna. Chan był człowiekiem dżungli.

Trzeci uczestnik tej przygody to Rolf. Sympatyczny Szwajcar, którego miałem szczęście spotkać w Luang Namtha. Szczęście, ponieważ opłacenie przewodników przeze mnie samego byłoby niesłychanie kosztowne, a naprawdę trudno znaleźć kompana, który miałby podobne wyobrażenie o trekkingu w dżungli. Większość ludzi ma zwyczajnie ochotę na kilkugodzinny spacer. Na szczęście Rolf, podobnie jak ja, chciał zaznać nieco większego trudu.

Miał 34 lata i wygląd dwudziestolatka. Po studiach zrobił sobie roczną przerwę i podróżował po Ameryce Południowej, gdzie poznał swoją przyszłą żonę – Kolumbijkę. Pracuje w towarzystwie ubezpieczeniowym, jednak od 10 lat co jakiś czas rzuca pracę lub bierze długi urlop i wyjeżdża w kolejne egzotyczne miejsca. Minimum miesiąc w roku. Lista jego podróży jest naprawdę imponująca. Warto też dodać, że zawsze poszukuje miejsc, gdzie można zrobić coś ciekawszego niż zaliczanie kolejnych zabytków. Wyprawy przez busz, wielodniowe trekkingi i zaginione miasta Inków to jego specjalność. Tego roku jego żona chciała jechać na Święta do Kolumbii. Po długich pertraktacjach ostatecznie spędzą je w Szwajcarii. Zaoszczędzony urlop Rolf wykorzystał na wyprawę do Laosu. Szwajcar był idealnym przykładem pokrewieństwa dusz. Mieliliśmy niezliczone tematy do rozmów i nigdy się razem nie nudziliśmy. Wiele się



Chan – człowiek dżungli

od niego również nauczyłem. Mam nadzieję, że kiedyś jeszcze wyruszymy na jakąś wspólną wyprawę.

Ostatniego uczestnika wyprawy już kojarzycie, a jest nim nie kto inny jak Kotlet.

Znacie już wszystkich. Razem tworzyliśmy ciekawą ekipę: dwóch Europejczyków w pełnym surwiwalowym rynsztunku, Sat – już w plastikowych butach, ale jeszcze w skarpetkach, i Chan zaopatrzony tylko w maczetę, plecak z niewielkim prowiantem oraz plastikowe buty na gołych nogach.

– Uuuuu, to wy w takich butach chcecie przez dżunglę iść? – zapytał zaraz na początku Sat.

– To są niezłe buty... Wiele już ze mną przeszły, są wygodne i pewne. Co więcej trzeba? – popatrzyłem na podobnie wyposażonego Rolfa, który energicznie przytaknął.

– Dobre może i w te wasze miasta, tam możecie sobie w nich chodzić po chodnikach. W dżunglę trzeba mieć takie – wskazał na swoje i Chana. Identyczne, niskie buty w całości odlane z plastiku. Kosztowały w przeliczeniu około 15 złotych. Słyszałem o tym, że najlepiej w buszu sprawdzają się gumki, jednak nie zdobyłem się na takie poświęcenie. Widocznie nasi przewodnicy uznali, że nie idziemy w tereny aż tak dzikie, żeby trzeba było włożyć kalosze. Zastąpili je więc wersją zmniejszoną o wysoką cholewkę.

– Przecież w plastiku nie ma żadnej wentylacji, po jednym dniu porobią mi się odciski i tyle z chodzenia. Moje buty dadzą radę, zapewniam cię – nie dawałem za wygraną.

– No zobaczymy...

Dwa dni później, środek dżungli

– Ale jesteś pewien? – zapytałem już któryś raz.

– Tak, powtarzam wam! Akurat w tej rzece nie takiego nie ma.

Od kilku minut staliśmy na brzegu rzeki i spieraliśmy się z przewodnikami. Płynęła przez środek dżungli i akurat tak się złożyło, że nasza ścieżka urywała się przy jej głównym nurcie i wesoło machała nam z drugiego brzegu. Obaj z Rolfem wiedzieliśmy, że po jej przekroczeniu nasze nogi będą wręcz czarne od pijawek, jednak to nie przerażało nas aż tak bardzo. Za dużo naczytałem się o tych demonicznych małych rybkach, które próbują dostać się do twojego ciała każdą najmniejszą szparą. Ale są tu też żyjątka, które nie potrzebują żadnego otworu, wystarczą im pory skóry. Wnikają sobie jak gdyby nigdy nic w głąb twoich mięśni, a po kilku tygodniach lub miesiącach,

już jako dorosłe osobniki próbują się z ciebie wydostać. Różnymi drogami. Właśnie dlatego nie byliśmy z Rolfem przekonani do wejścia do tej rzeki.

– Mówię wam po raz ostatni, nic takiego tutaj nie ma. W każdym razie to jest jedyna droga. My idziemy dalej, jak chcecie, to możecie zostać.

To ostatecznie ucięło dyskusję. Posłusznie zdjęliśmy buty i zaczęliśmy marsz przez rzekę. Takich przejść było tego dnia jeszcze kilkanaście. Jakiś dowcipniś wytyczył ścieżkę raz z jednej, raz z drugiej strony wody. Mniej więcej po trzecim razie wiedziałem już, na czym polega wyższość plastikowych butów. Sat i Chan bez żadnego wysiłku kroczyli sobie przez rzekę w swoim uniwersalnym obuwiu. My natomiast musieliśmy uważać z każdym krokiem wykonywanym bosą stopą, aby nie stanąć na jakimś ostrym jak żyłotka kamieniu. Zajmowało to oczywiście dwa razy więcej czasu.

– Widzicie? Właśnie dlatego mówiłem wam o dobrych butach w dżunglą! – dobiegł nas z przodu głos Sata.

Odpowiedzieliśmy ciszą. Przerwaliśmy ją dopiero po wyjściu z rzeki przy mozolnym odrywaniu kolejnych pijawek.

Tego samego dnia, godzina 21:00, dawno po zmroku

– Dobra chłopaki, zbieramy się! – Sat poderwał się z miejsca przy ognisku.

– Teraz? Gdzie?

– No przecież sami chcieliście zaliczyć nocne łowienie ryb.

Fakt, mówiliśmy o tym od początku wyprawy, choć w obliczu ciemnej nocy w dżungli, szumu rzeki i odgłosów lasu deszczowego ochota na ryby trochę nam przeszła. Tak czy inaczej, zebraliśmy się z niemałym podekscytowaniem. Do tego czasu wiedzieliśmy już, że w ciągu dnia w nurcie rzeki nie pojawiają się praktycznie żadne ryby, a jedyny sposób na ich połów to właśnie nocna wyprawa.

– Dobra, to gdzie macie jakąś wędkę albo siatkę? – zapytałem.

– A po co? Przecież mamy maczety. – Sat po raz kolejny obdarzył mnie spojrzeniem zdającym się mówić: „Ty nic o życiu nie wiesz”.

Ciężko mi było uwierzyć w te metody, ale mimo to skierowaliśmy się razem z Rolfem w stronę rzeki. Na miejscu okazało się, że przewodnicy nie mają latarek. Wzięli tylko świeczki. Może nic w tym dziwnego, w końcu byli ludźmi lasu, jednak do nocnych łowów w rzece światło jest niezbędne. Oddaliśmy im więc nasze czołówki, a sami zostaliśmy z lichym światełkiem z telefonu komórkowego. Sat i Chan zwyczajnie weszli

Vang Vieng, osiem dni przed Bożym Narodzeniem

Jako że turystyczna atmosfera miasteczka niezbyt przypadła mi do gustu, nie planowałem w Vang Vieng dłużej zagrzezać miejsca. Miałem zamiar następnego dnia pożyczyć rower i pojechać po okolicznych górach. Nie było mi to jednak dane.

Wszystko zaczęło się, gdy wieczorem rozmawiałem ze swoją rodziną przez Skype'a. Szczególnie przed Świętami coraz częściej tęskniłem za bliskimi, więc tym bardziej cieszyłem się z możliwości rozmowy. Wielokrotnie powtarzałem im, że wszystko jest okej i że mam się dobrze. Pod koniec rozmowy poczułem jednak, że coś nie do końca jest w porządku. Pod byle jakim pretekstem szybko się rozłączyłem, aby ich dodatkowo nie martwić.

Najpierw poczułem przejmujące zimno na całym ciele. Wydawało mi się, że znowu jestem na Syberii. To nic takiego – pomyślałem – pewnie złapało mnie jakieś małe przeziębienie. Wciągnąłem na siebie kołdrę. Po kilku minutach zrobiło się jeszcze zimniej. To na pewno przez otwarte okno – pomyślałem tym razem z mniejszym przekonaniem, szczególnie że termometr wskazywał około 28 stopni Celsjusza.

Pięciometrowa wyprawa w celu zamknięcia okna zajęła mi dobrych kilka minut. Czuję się, jakbym zdobywał biegun. Każdy krok był niewyobrażalnym wysiłkiem, do tego miałem drgawki, które uniemożliwiały używanie rąk. Wiedziałem już, że coś jest bardzo nie w porządku.

Na szczęście w łazience był ogrzewacz do wody*. Uznałem, że to moja jedyna szansa na rozgrzanie się. Kucnąłem pod prysznicem, podkręciłem ogrzewacz na maksimum i zacząłem się obficie polewać. Miałem wrażenie, że wylewam na siebie lodowatą wodę. O jej faktycznej temperaturze świadczył fakt, że po kilku minutach nabawiłem się oparzeń na plecach. Mimo to nadal odczuwałem niewyobrażalne zimno.

Nie wiem, ile czasu spędziłem pod prysznicem, bo nijak nie mogłem zebrać myśli. Modliłem się tylko, żeby wreszcie poczuć choć trochę ciepła i żeby ustąpiły ciągle drgawki. Szczekanie moich zębów prawdopodobnie było słychać w całym hostelu.

Gdy wreszcie wróciłem do pokoju, szybko zawinąłem się w puchowy śpiwór, który z powodzeniem służył mi w Rosji i Mongolii przy temperaturach rzędu -10 stopni Celsjusza. Na śpiwór naciągnąłem jeszcze kołdrę i założyłem zimową czapkę na głowę. Nareszcie poczułem trochę ciepła i mogłem spróbować przeanalizować moją sytuację.

* W krajach Azji Południowo-Wschodniej ciepła woda w hostelach to rzadkość. Z powodu wysokich temperatur po prostu się jej nie potrzebuje.



Nie wyglądała ona dobrze. Rzadko kiedy śpię w pojedynczych pokojach, ale tym razem jak na złość taki był najtańszy. Nie miałem więc nikogo, kto ewentualnie mógłby mi pomóc. Ponieważ praktycznie nie mogłem się poruszać, było to dość niepokojące. Zdawałem sobie równocześnie sprawę, że wszystkie moje objawy są typowe dla jednej choroby. Malarii.

Co prawda wielu ludzi mówiło mi, że malaria jest obecnie niezwykle rzadko spotykana na tych terenach, ale oczywiście niezwykle rzadko nie oznacza nigdy. Szczególnie jeśli jest się zdanym tylko na siebie i wyobraźnia pracuje na najwyższych obrotach. Dodatkowo okres inkubacji malarii to około 14 dni, a dokładnie przed tyłoma dniami przedzierałem się przez laotańską dżunglę...

Uznałem, że ktoś musi wiedzieć przynajmniej o tym, gdzie jestem. Właściciele hostelu pewnie by do mnie nie zajrzeli, tylko cieszyli się, że mają bezproblemowego gościa, który siedzi w pokoju już piąty dzień z rzędu. Napisałem więc SMS-a do mojego przyjaciela w Polsce. Nie do rodziny, ponieważ zdawałem sobie sprawę, że momentalnie poruszone zostałyby policja, wojsko i NASA.

Jestem w hostelu Johnny w Vang Vieng. Czuję się gorzej niż źle. Jeśli do rana nie dam znaku życia, zawiadam kogoś w Polsce i podnieś alarm. SMS był krótki i treściwy, jednak zanim zdążyłem go wysłać, zasnąłem jak zabity...

We śnie biegałem po niestworzonych krainach, jeździłem na różowych koniach i skakałem w świecie bez grawitacji. Budziłem się kilkakrotnie i za każdym razem wyglądałem, jakby ktoś wylał na mnie kilka wiader wody.

Nazajutrz wyruszyłem na najcięższą wędrowkę w mojej podróży. Musiałem dojść do sklepu, kupić zapas wody i wrócić. Po blisko godzinie, którą poświęciłem na ten dwustumetrowy odcinek, czułem się jak po zdobyciu Mount Everest. Wypiłem duszkiem butelkę wody i padłem na łóżko na kolejne trzy godziny. Wieczorem podjąłem decyzję – jeśli następnego dnia nie będzie lepiej, muszę skontaktować się z jakimś lekarzem.

Trzeciego dnia moich zmagañ poczułem minimalny przypływ sił. Uznałem, że jest on wystarczający, aby spakować manatki i uciec do stolicy Laosu – Wientianu. Stamtąd było już o krok od granicy z Tajlandią, gdzie w razie czego mogłem liczyć na pomoc lekarzy. Jak już wspomniałem, ci laotańscy nie wzbudzają zaufania.

Z trudem upchnąłem cały dobytek w plecaku i wyszedłem na wylotówkę. Na szczęście jak zwykle Opatrzność nade mną czuwała i zabrało mnie już pierwsze auto, w dodatku prosto do Wientianu. Wyjątkowo była to milcząca jazda – usiadłem na tylnym siedzeniu i zawinięty w bluzę próbowałem się przespać.

Wiedziałem, że jeśli faktycznie złapałem malarię, to następny atak przyjdzie za około 72 godziny i wtedy będę musiał być przygotowany na ewentualne działania. Modliłem się jednak, żeby kolejny napad drgawek i gorączki nie przyszedł...

Opowieść wigilijna

Nie tak dawno, dawno temu, ale za to za siedmioma górami i za siedzioma rzekami, wędrował sobie pewien mały, wesoły Ludzik. Poznawał nowe krainy, przeżywał przygody i zdobywał wspaniałych przyjaciół. Gdy wyruszał, nie zastanawiał się nad tym, ile zajmie mu wędrowka. Nie myślał o tym również podczas przemierzania kolejnych krajów. Cieszył się każdą chwilą, nie patrzył na zegarek, a daty pojawiały się tylko w jego ogromnym notatniku. Pewnego dnia jednak zajął do kalendarza, policzył dni i bardzo się zasmucił. Wszystko wskazywało na to, że nie uda mu się dotrzeć do rodzinnych stron przed Świętami. W dodatku, gdy zakreślił swoje plany na mapie, okazało się, że w tym czasie będzie w kompletnie nieznanym mu baśniowej krainie. Udał się więc do wyroczni o imieniu Google i zapytał ją o ten zakątek świata.

– Drogi Ludziku, to miejsce zupełnie inne niż te, które poznałeś dotychczas. Tam niewiele wiedzq o twoich Świętach, a ich wierzenia są całkowicie odmienne. Tam nie lubią takich jak ty...

– Ale przecież musi tam być ktoś podobny do mnie. Proszę, wyrocznio, znajdź coś!

– Niestety moja moc tam nie sięga, jesteś zdany tylko na siebie.

Ludzik słuchał tego wszystkiego i był coraz bardziej zaniepokojony. Lubił poznawać inne wierzenia, ale Świąta były dla niego od zawsze bardzo ważne. Pogodził się już z tym, że nie spędzi ich ze swoimi bliskimi, jednak chciał przynajmniej znaleźć kogoś tej samej wiary. Spotykał takich ludzi już wiele razy podczas swojej wędrówki i dobrze wiedział, że zawsze przyjmą go z otwartymi ramionami. Gdyby nie ci ludzie, Ludzik nie doszedłby tak daleko.

Mimo wszystko Ludzik się nie poddał. Dotarł do odległej krainy, przekroczył jej mistyczne bramy, a następnie zaczął ją poznawać z uśmiechem i pozytywnym nastawieniem. Zaglądał do kolejnych wiosek i usilnie wypytywał, czy ktoś nie słyszał o podobnych jak on. Powtarzał słowa „Świąta” i „kościół”, które w jego stronach były czymś oczywistym. Egzotyczni mieszkańcy byli bardzo życzliwi, jednak nikt nie słyszał o tym, czego poszukiwał wędrowiec. A może – pomyślał Ludzik – tutaj naprawdę nikt nie zna Świąt? Może przyjdzie mi je spędzić samotnie w moim szałasie?

Ludzik widział nie tylko dobre rzeczy. W kilku miejscach mu się podobało i mimo że w nich również szukał schronienia na Świąta, miał cichą nadzieję, że go tam nie znajdzie. Wbrew wszystkim przeciwnościom nie tracił jednak nadziei. Zbliżał się do największej wioski w całej krainie. Wyrocznia wspominała, że tam mogą być ludzie jego wiary. Do Gwiazdki pozostało mu zaledwie osiem dni, ale wiedział, że mieszkańcy są życzliwi i bezinteresownie dowiozą go w porę na miejsce.

Wtedy wydarzyło się coś, czego Ludzik nie mógł przewidzieć. W ostatniej wiosce przed dużą stolicą, Ludzik się rozchorował. Niejednokrotnie czuł się już źle w podróży, jednak tym razem było dużo gorzej.

Z chorobą zmagał się trzy dni, aż w końcu udało mu się zebrać siły i dotrzeć do stolicy owej odległej krainy. Zajrzał do pierwszej gospody i zapytał o najtańszy nocleg. Ku ogromnej radości usłyszał w odpowiedzi swój ojczysty język z dalekich stron! Ludzik nie mógł w to uwierzyć, ale w gospodzie pracował jego krajan. Wiedział już, że będzie się tam dobrze czuł i będzie miał szansę wyzdrowieć.

Z każdym dniem Ludzik czuł się lepiej. Cały czas obawiał się przyjscia nawrotu choroby, jednak ten się nie zjawiał. Wizja spędzenia świąt w szpitalu w odległej miejscowości nazywanej tu Bangkok szczęśliwie się oddalała. Jak zwykle Ludzik szukał pozytywów. Tym razem długo musiał się zastanawiać, ale w końcu wymyślił, że plusem było zaoszczędzenie sporych pieniędzy na strawie. Przez te dni jego organizm z trudem przyjmował jeden posiłek dziennie. Z tego wszystkiego postanowił zaszaleć i kupić sobie coś, co w jego kraju znał jako pizzę. Od tego momentu Ludzik zaczął odzyskiwać siły i jeść podwójne porcje.

Kotlet po laotańsku – podsumowanie

Laos, jeszcze bardziej niż inne kraje na mojej trasie, obfitował w autentyczne spotkania z niesamowitymi ludźmi. Przewodnicy w dżungli, wioska Soptod, Świąta w Wientianie, drugie Świąta w okolicach Pakse. Oprócz zwyczajowego siedzenia na ławce i gapienia się na ludzi, mogłem ich wypytywać o wszystko. Były to tematy bardzo różne, wśród nich również trudne i depresyjne. Postanowiłem jednak ich tu nie przytaczać i trzymać tradycję wskazywania drobnych przywar spotykanych ludzi. Pogadajmy sobie więc o Laotańczykach, bo jest o kim!

Fakt 1.

Laotańczycy są szaleni! We wszystkich tego słowa znaczeniach. Na każdym kroku wykazują się spontanicznością i nieobliczalnymi zachowaniami. Zaryzykuję stwierdzenie, że są najbardziej zwariowanym narodem, jaki spotkałem. Ten wulkan energii udziela się wszystkim naokoło. Udzielił się również mnie, skutecznie zapewniając energetyczną pustkę pozostałą po Chinach.

Fakt 2.

Po mongolskiej muzyce przyszła kolej na nową miłość. Laotański język. Mam tak, że niektóre języki po prostu mi się nie podobają i nie mogę ich sobie przyswoić, zaś inne to dla mnie muzyka dla uszu. Słówka same wtedy wchodzą do głowy. Lao należy do tych drugich. Czasem brzmi przezabawnie – z racji nadmiaru samogłosek i dlatego, że słowa można pomylić z naśladowaniem odgłosów natury. Mimo to opanowałem naprawdę sporą liczbę zwrotów. Kto wie, może zapiszę się na kurs laotańskiego?

Fakt 3.

Laotańczycy mają bardzo dobry gust. Prawdopodobnie to wpływ Francuzów. Przejawia się to na przykład w budowaniu pięknych posiadłości. Co prawda czasem są one ustawiane obok domów z bambusa, ale tak bardzo to nie razi.

Fakt 4.

Laotańczycy są względem siebie niesłychanie lojalni i trzymają się zasady „jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”. Gdy w jakimś mieście sprzedaje się kanapki, można być pewnym, że w każdej budce cena będzie taka sama. Obok siebie stoi dziesięć

identycznych stoisk z tymi samymi towarami, ale kobiety żyją w pełnej zgodzie, nawet jedna drugiej wagę pożyczycy jak trzeba. A może po prostu nie poznali jeszcze zasad wolnego rynku? Powyższa cecha przejawia się też takim samym zdaniem na każdy temat.

Fakt 5.

Palenie papierosów. Wygląda na to, że w Laosie palenie to ogromny wstyd. Jest wiele miejsc, gdzie obowiązuje całkowity zakaz palenia (dla nas to może nic dziwnego, ale w Azji jakiegokolwiek zakazy są bardzo rzadkie), a spotkałem się nawet z całymi miastami wolnymi od papierosów. Może to świadomość uzależnień, a może zabezpieczenie przed innymi używkami, które nie zawsze można łatwo odróżnić od papierosów.

Fakt 6.

Może i mało znaczący, ale przez cały mój pobyt nie przestawał mnie zadziwiać niski wzrost Laotańczyków. Mają zazwyczaj jakieś metr pięćdziesiąt pięć. Na przedstawieniach świątecznych w wiosce koło Pakse, z moim metrem siedemdziesiąt sześć byłem wielkoludem, którego nikt nie lubi w kinie czy teatrze. Laotańczycy są też zadziwiająco „kompresowalni”. Gdy Sat siadał w kucki przy ognisku, wyglądał tak, że można by go z powodzeniem wpakować do bagażu podręcznego tanich linii lotniczych.

Fakt 7.

Brak okazywania uczuć. Pewnie jest to bardziej kwestia kultury niż usposobienia, niemniej jednak fakt jest faktem. Zakochani, czy to młodzi, czy starzy, nijak nie dają po sobie poznać, że są parą. Można ich spokojnie uznać za brata i siostrę. Niemile jest też widziane okazywanie uczuć przez obcokrajowców. W wiosce Soptod do dzisiaj krąży legenda, jak to pewna francuska para pocałowała się na brzegu rzeki.

Fakt 8.

Dzieci. Kiedyś pisałem o uroczych Mongołkach, a teraz muszę powiedzieć, że dzieci laotańskie chyba je przebiły. Są przeurocze! Oprócz radosnego uśmiechu, całkowicie rozbijają powtarzaniem w kółko *Sabaidee* i *Hello* oraz entuzjastycznym machaniem rączkami w kierunku każdego przechodnia. Śliczne są przede wszystkim laotańskie dziewczynki. Niejedna skradła moje serce. Żadna nie miała więcej niż 10 lat.



Pozytywna laotańska energia

Fakt 9.

Night markety. Pod względem kulinarnym to najlepsze, co mnie spotkało w Laosie. Przywykłem już do azjatyckiego jedzenia późno w nocy, a te miejsca idealnie się do tego nadawały. Za pół darmo można było najeść się do syta. W każdym większym mieście były również tak zwane *morning markety*, gdzie jadło się do południa. Te pierwsze pustoszały raniem, natomiast te drugie po południu. Nie pojmuję, dlaczego nie można połączyć tych dwóch miejsc i nazwać *all time market*.

Fakt 10.

Hazard w Laosie. Bardzo prymitywny, ale będący w ciągłym rozkwicie. Podstawą są laotańskie loterie, na które losy sprzedawane są na każdym rogu ulicy przez kobiety spędzające cały dzień przy plastikowych stolikach. Może zbyt ochoczo podciągnąłem to pod hazard... Zatem inny przykład. Do Wioski Na Piętnastym Kilometrze Szosy w czasie Świąt przyjechał obwoźny hochsztapler. Miał ogromny wóz z przeróżnymi przyrządami. Kojarzył mi się ze średniowiecznymi magikami, jak z filmu *El Medico*. Wieczorem rozkładał wielkie plansze z przedziwnymi malunkami, które symbolizowały różne stawki. Zasad nie pojąłem, ale wejściowe od 40 groszy

i niewyobrażalne emocje przy zakładach kazały mi myśleć o Laotańczykach jak o urodzonych hazardzistach.

Fakt II.

Chociaż jeden negatyw. Koguty. Nie wiem, jakim cudem, ale były wszędzie. Niezależnie czy spałem w małej wiosce, czy w dużym mieście, zawsze w okolicy było ich kilkanaście. Te małe skurczybyki zaczynały pisać już około trzeciej w nocy. Działał efekt domina. Gdy jeden się odezwał, inne musiały pokazać, że przecież też od dawna nie śpią. Bez stoperów do uszu nie wybierajcie się do Laosu!

Jak to wszystko podsumować? Wiecie, że w przyjaźni kotletowo-laotańskiej były chwile gorsze w postaci turystycznych enklaw europejskich. Zaraz potem prawdziwe oblicze tego kraju uderzało w podwójnej dawce i znowu czułem się jak w egzotycznym wehikule czasu. Laos napelnił mnie radością, chęcią życia i siłą do dalszego podróżowania. Znalazłem tu zatem wszystko, czego potrzebowałem. To przepiękny kraj, na który czyha tak wiele niebezpieczeństw...

Bądź zdrow, Laosie! Bardzo chciałbym cię jeszcze kiedyś odwiedzić, ale usadowiłeś się tak daleko od Europy, że nie wiem, czy będzie to możliwe. Żegnaj zatem, trzymaj się ciepło i pod żadnym pozorem nie daj się zjeść Chińczykom i europejskim turystom!

PEWNEGO DNIA KOTLET postanowił skrócić w innym kierunku. Spakował się na wynos, wystawił kciuk do góry i wyruszył w autostopową podróż, która zakończyła się osiem miesięcy później na drugiej półkuli — w Indonezji.

Opowieść Kotleta to ponad 30 tysięcy kilometrów przemierzonych autostopem przez **ROSJĘ, MONGOLIĘ, CHINY, LAOS, TAJLANDIĘ, KAMBODŻĘ, BIRMĘ, MALEZJĘ, SINGAPUR I INDONEZJĘ.**

To przedzieranie się przez syberyjską tajgę i biwakowanie nad Bajkałem. To mieszkanie z mongolską rodziną w jurcie i rozpaczliwe próby porozumienia się z Chińczykami, aby dotrzeć pod Tybet. To praca przy żniwach ryżu w Laosie i budowanie domków na wodzie w Kambodży. To zdobywanie górskich szczytów Birmy i przemierzanie tajskich mórz jachtostopem. To obozowanie w wulkanie na Sumatrze i przekraczanie indonezyjskiego równika.

Opowieść Kotleta to również próba zmierzenia się z rzeczywistością życia w drodze, różnicami kulturowymi, religijnymi oraz przyziemnymi problemami związanymi z domem upchany w plecaku.

To historia niezwykła powstała ze zwykłego połączenia odrobiny **FANTAZJI**, ogromnego **SAMOZAPARCIA** i dostatku **WOLNEGO CZASU.**

Patroni medialni:



Nr katalogowy: 44002



Księgarnia internetowa:
<http://bezdroza.pl>



Zamówienia telefoniczne:
0 801 339900



0 601 339900

Bezdroża

Sprawdź najnowsze promocje:
• <http://bezdroza.pl/promocje>
Przewodniki najszybciej czytane:
• <http://bezdroza.pl/bestsellery>
Zamów informator podróżniczy:
• <http://bezdroza.pl/newsletter>

Hellera SA
ul. Kościuski 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: bezdroza@bezdroza.pl
<http://bezdroza.pl>

Cena 39,90 zł

ISBN 978-83-283-2635-4



9 788328 326354

PROGRAM PARTNERSKI

GRUPY WYDAWNICZEJ HELION



- 1. ZAREJESTRUJ SIĘ**
- 2. PREZENTUJ KSIĄŻKI**
- 3. ZBIERAJ PROWIZJĘ**

Zmień swoją stronę WWW
w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA WYDAWNICZA

 **Helion SA**